

„Nocne barany”

Sto pięćdziesiąt sześć, sto pięćdziesiąt siedem, sto pięćdziesiąt osiem... sto sześćdziesiąt... sto dziewięćdziesiąt dwa, trzy, cztery... Jaki płótek mam sobie wyobrazić, żeby było łatwiej? Biały? Żółty? Czy po prostu drewniany? A jak tak, to jaki? Polakierowany czy nie?

Kurde, powinnam chyba wrócić do liczenia, bo się rozpraszam...

No dobra, dwieście jeden, dwieście dwa... dwieście trzydzieści... dwieście czterdzieści trzy, osiemdziesiąt osiem... A te barany to jakie? Białe czy czarne?

No chyba białe, bo białych jest więcej... Z drugiej strony, skoro sobie wyobrażam, to mogę sobie wyobrazić czarne. A co, niech będzie na raz tyle unikatowych baranów!

No i gdzie to ja...? Ile to było? Zgubiłam się... Nie ma mowy, żebym zaczynała od początku!

To trzysta... trzysta siedemnaście, trzysta osiemnaście... trzysta trzydzieści trzy...

No idzie zwariować! To nie ma sensu. Pójdę się napić.

Siadam na łóżku, po czym muszę wykonać potężny krok, żeby ominąć mojego nie najdrobniejszej budowy męża. Gramolę się, bo jest ciemno i nigdy nie wiem, gdzie się kończy łóżko. Upadam na niego po kilka razy. Nawet nie drgnął. Nie dziwi mnie to, jakbym zajmowała tyle powierzchni pewnie też skromne, spadające na mnie pięćdziesiąt kilo nie zrobiłoby żadnej różnicy.

Boję się ciemności, ale nie świecę światła, żeby nie obudzić dzieci. Powoli i ostrożnie pokonuje kolejne stopnie, dzielące mnie od kuchni. Po drodze zastanawiam się, co tak naprawdę chcę wypić.

Może wodę? Jest dość neutralna, że tak ją nazwę, ale chyba potrzebuję na dzisiaj czegoś mocniejszego, skoro trzysta trzydzieści trzy barany poszły się paść. Przystaję, by móc zaśmiać się z tego żarciku.

Marylka jak raz przyszła z przedszkola mówiła, że najlepsze na spanie jest mleko, tylko nie wiem czy zimne czy gorące. Szybko rozstrzygam jednak ten dylemat,

bo najzwyczajniej w świecie nie chce mi się go przygrzewać. Otwieram lodówkę i wyjmuję butelkę mleka. Piję, dopóki nie opróżnię połowy. Chowam ją do lodówki, stoję przy oknie i czekam kilka minut. Nadal nic, wciąż nie chce mi się spać.

No co by tu jeszcze... Mój wzrok spoczywa na niedokończonej butelce Martini, stojącej obok zlewu. Miałam ją przecież zanieść do barku w salonie. No cóż, zrobię to teraz...

Ostrożnie ujmuję butelkę, nie chcę przecież, żeby upadła i się rozbiła. Nie mogę do tego dopuścić. Trzymam ją przed sobą w odległości wyprostowanej ręki. Przecież tylko ją przenoszę, nic złego nie może się z tego powodu wydarzyć. Zapalam nawet światło w korytarzu, na klatce schodowej, w przedpokoju, a przecież salon znajduje się w sąsiedztwie kuchni. W końcu zapalam światło w salonie...

Od pokonania progu moje spojrzenie spoczywa na zamkniętej za drewnianymi drzwiczkami półce, tak zwanym barku. Butelka, którą niosę staje się dla mnie jak celownik, którym odmierzam jak daleko znajduje się mój cel.

Przed oczami staje mi, jakby stop klatka, czas, gdy ten sam barek był zaryglowany ciężką, metalową blokadą, niemalże niemożliwą do zniszczenia. Z każdym krokiem ten obraz powraca do mnie na dłużej. Jestem już w połowie pomieszczenia, a on zaczyna pojawiać się przed moimi oczami częściej niż obraz rzeczywisty.

Przystaję na moment, tempo wpatruję się w barek. Wygląda tak samo, jak gdy tu weszłam. Nie jest już zamknięty przede mną, niedostępny dla mnie. Jest otwarty, cały mój i woła...

Otrząsam się po tej myśli. Nie, nie mogę. Przyszłam tu tylko odnieść niedokończoną butelkę, odstawię ją na miejsce i wracam do łóżka, do liczenia baranów, do mojego kochanego męża, do spokoju, ciszy, ciemności...

Mój mąż... jak łatwo jest mi go teraz nazwać takim mianem po tym, co zrobił dla mnie i dla naszej rodziny, jak walczył ze mną, podczas, gdy ja się poddawałam. Wierzył we mnie nawet wtedy, gdy każdy stracił już wiarę, nawet ja.

Pokonuję kolejne kroki z myślą o mojej wspaniałej rodzinie, o mężu, który codziennie wieczorem, pozwala mi zasypiać w swoich ramionach, o roześmianych twarzach dzieci, z myślą o szczęściu i harmonii.

Udaje mi się dotrzeć do barku. Powoli moja druga dłoń wędruje ku wystającym kluczom. Przekręcam go i otwieram drzwiczki. Spoglądam na stojące na półce butelki z alkoholem. Jest ich niewiele, dwie zaczęte podczas ostatnich świąt kilka miesięcy temu i trzy jeszcze nie otwarte, kupione z myślą o możliwie nadarzającej się okazji jakiegoś prezentu dla rodziny.

Przypominam sobie obraz potłuczonych kilkunastu butelek w tym salonie. Mój mąż wpadł wtedy w furję. To był moment, który wszystko zmienił. Jego bezsilność spowodowała, że nie był w stanie poradzić sobie ze mną, z moją chorobą. Nie wiedział już jak ma mi zakazywać, jak chować, jak powstrzymać, dlatego wytłukł wszystkie butelki z alkoholem jakie znajdowały się w domu. Siedziałam wtedy w kącie tego pomieszczenia i z każdym dźwiękiem kolejnego tłuczonego szkła przychodziła kolejna fala

przeraźliwego, niepohamowanego krzyku.

On również krzyczał... że niszczę życie, nie tylko swoje, ale i dzieci, że nie daję sobie pomóc, że wydaje mi się, że jestem silna, ale tak naprawdę alkohol ma nade mną górę, że przerwałam leczenie, bo nie chciałam, żeby dowiedziała się rodzina, nie myśląc o sobie, o dzieciach, o nim, tylko o tym, co ludzie powiedzą. Płakałam wtedy, krzyczałam, pisałam, nie chciałam tego słuchać, patrzeć się na to, nienawidziłam go wtedy tak bardzo, jak potrafiłam go kochać.

On tłukł butelkę za butelką, tłumacząc, że to chyba jedyny sposób na to, bym zaczęła myśleć o sobie i o tym, że w obliczu choroby jestem słaba, a ja wciąż wrzeszczałam, coraz bardziej...

W końcu zamilkł i zaczął wpatrywać się tempo w stronę drzwi. Jego twarz, wcześniej wykrzywiona gniewem, teraz złagodniała, w oczach pojawiły się łzy. Wykorzystałam okazję przerwy w ataku i skuliłam się w kącie jeszcze bardziej, by móc uciec od jego spojrzenia, zatopić się w moim cierpieniu...

- Jasiu... - szepnął, w stronę drzwi, a jego oczy zrobiły się coraz większe.

Znieruchomiałam. Nie mogłam się nawet podnieść, by spojrzeć mojemu dziecku w oczy, po tym, co zobaczył. Ile tam stał? Co widział, co słyszał? Jak bardzo się bał?

- Śmierdzi – szepnął z niesmakiem siedmiolatek.

Jurek rozglądął się po pokoju, gdzie wszędzie był rozlany alkohol i potłuczone szkło. Salon wyglądał jak pobojuwisko, a w powietrzu unosił się zatęchły zapach alkoholu.

- Dlaczego mama płacze? – zapytał, wchodząc głębiej do pomieszczenia, gdzie ujrzał mnie, leżącą w kącie.

Zapadła długa chwila milczenia. Jurek spuścił głowę, z bezsilności usiadł na fotelu,

ja nawet nie drgnęłam.

Jak wytłumaczyć siedmioletniemu chłopcu, że alkoholizm to choroba, z którą ciężko walczyć? Jak powiedzieć mu, że jego trudności w szkole, związane z nauką liczenia czy czytania wynikają z uzależnienia jego matki podczas ciąży?

- Jasiu... - zaczął Jurek – mama jest chora.

Chora, chora, chora... zaczęło mi to krążyć w głowie, jakby opętało wszystko to, o czym myślę. Nie, nie jestem chora! Tylko słaba, po prostu słaba.

Powoli poruszyłam się i zaczęłam podnosić głowę, by móc ujrzeć twarzą chłopca.

Był taki przestraszony... Spojrzał na mnie swoimi dużymi, niebieskimi oczami.

- Czy mama umrze? – zapytał płaczliwie.

Pomyślałam sobie jak mało brakowało, żeby to on nie umarł podczas porodu. Miałam wtedy za duże stężenie alkoholu we krwi, to cud, że obydwójce żyjemy.

Podniosłam się i podbiegłam do niego. Klęknęłam, by objąć tego małego, dzielnego mężczyznę.

- Nie kochanie, mama po prostu jest słabsza niż inne mamy, ale dzięki temu kocha Cię bardziej, niż ktokolwiek inny – mocno przycisnęłam go do piersi. Po policzkach płynęły mi łzy.

- Ja Ciebie też kocham, mamó – odpowiedział dumnie.

Spojrzałam na swoje odbicie w szybie kredensu. Uśmiechałam się na wspomnienie tamtego wydarzenia. Od niego wszystko się zmieniło. Na nowo rozpoczęłam terapię, a efekty były widoczne niemalże od razu. Jasiu już nigdy nie pytał, co tak naprawdę się wtedy wydarzyło. Pomimo wszystko, chyba wolał milczeć. Z czasem nasza rodzina się powiększyła o kolejne dwie duszyczki. Mąż był ze mnie dumny, każdego dnia czu-

łam jak coraz bardziej mnie kocha. Nasza miłość stała się silniejsza, dzięki temu, ile razem przeszliśmy. Opowiedziałam w szkole Jasia o tym, dlaczego ma nietypowe problemy z zapamiętywaniem. Wychowawczynie wykazała się nadzwyczajnym zrozumieniem i zaproponowała pracę terapeutyczną w pobliskim ośrodku dla dzieci. Chłopiec jest bardzo rezolutny, więc przy ciężkiej pracy możliwe, że uda mu się osiągnąć możliwości zapamiętywania, jakie posiadają jego zdrowi rówieśnicy.

Wczoraj pierwszy raz od wielu lat mąż otworzył przy mnie alkohol i podał mi szklankę wypełnioną tylko na spodzie. Z szeregiem obaw wzięłam do ust pierwszy łyk.

Smakowało jak nigdy. Z każdym kolejnym chciałam coraz więcej, ale wiedziałam, że nie mogę, dla niego, dla dzieci. Dlatego tylko spróbowałam, a później odłożyłam.

Było warto walczyć ze sobą na widok uśmiechu, jaki pojawił się na jego twarzy. Wierzył we mnie i ta jego wiara się opłacała.

Zerknęłam na butelkę Martini, którą trzymałam w ręce. Odkręciłam zakrętkę. Otwór butelki przytknęłam do nosa, zaniósłam się niepowtarzalnym zapachem, który wydawał mi się być błogi i kojący. Skoro wczoraj udało mi się powstrzymać, to dzisiaj na pewno też mi się uda. W dodatku, napiję się tylko odrobinkę na dobre spanie.

Wyciągnęłam z kredensu szklankę, nalałam naprawdę małą ilość. Przechyliłam, by móc poczuć jak mocny alkohol rozlewa się po całym moim ciele, jak stopniowo robi mi się ciepło, z każdym następnym łykiem coraz cieplej. Nalałam sobie kolejną porcję, tym razem większą niż poprzednią, wypiałam znacznie szybciej, ale wciąż wolniutko. Nie chciałam ominąć żadnej chwili, które celebrowałam teraz sama, w środku nocy, sprawiając sobie największą przyjemność, jaką tylko byłam w stanie. Usiadłam na sofie, kolejna szklanka, jeszcze jedna i jeszcze. Z każdym łykiem, coraz

lepiej, cieplej, przyjemniej...

Zaczęłam wspominać każdą imprezę, na której byłam w młodości. Jak było mi wtedy wspaniale... Zawsze piłam najwięcej, ale nigdy tak, żeby nie pamiętać. Potem łądowałam z każdym upatrzonym wcześniej chłopakiem, to w pustym pokoju na łóżku, to w ubikacji, to za rogiem jakiegoś budynku i kochaliśmy się, długo i namiętnie, bez żadnego wstydu, jak potrafi się tylko po alkoholu. Wielu z nich nie używało zabezpieczeń, toteż wciąż zażywałam tabletki antykoncepcyjne.

Pewnego dnia i one zawiodły. Odkryłam, że jestem w ciąży. Byłam na studniach, nie miałam pracy, rodzice utrzymywali mnie ze swojej marnej pensji, nie mogłam pozwolić sobie na urodzenie tego dziecka. Nie wiedziałam, kto jest ojcem, nie pamiętałam. Usunęłam je. Zabiłam. Nie dałam mu szansy nawet poczuć pierwszego tchnienia. Zaczęłam płakać, wpadłam w przerażającą histerię. Trzęsąc się z płaczu nalałam sobie kolejną szklankę do pełna, później następną i następną. Zawartość butelki zaczęła zmniejszać się w zawrotnym tempie, a ja piłam i piłam, wciąż więcej i szybciej.

Kilka razy rozlałam, gdy chciałam trafić do szklanki, dlatego stwierdziłam, że nie jest mi już potrzebna. Przystawiłam butelkę do ust, wypić całą jej zawartość. Położyłam się na sofie, zaczęłam płakać coraz bardziej, cierpiałam z powodu zabójstwa, jakie popełniłam. Zaczęłam myśleć o Jasiu, którego udało mi się urodzić w strachu i chaosie, pod wpływem alkoholu, ponieważ wtedy myślałam, że tak będzie łatwiej.

Jego też tak jakbym zabiła, bo to, że nie potrafi policzyć do dziesięciu w wieku siedmiu lat to jest tylko moja wina, moja wina! Nie wiadomo kiedy będzie potrafił policzyć trzysta trzydzieści trzy barany przed snem... Nie rozpoznaje kolorów, z trudem składa litery, a tak bardzo się stara, żeby przewyciężyć moją głupotę...

Zasnęłam targana spazmami płaczu, pełna niepokoju, cierpienia, bezradności. Czułam się bezbronna, kolejny raz pokonana... Ale zasnęłam.